Wojciech Wasiutyński

O PROGRAM WIĘKSZOŚCI

Większość Polaków jest przeciwko socjalizmowi. Jeżeli w latach siedemdziesiątych dość powszechne było stanowisko, że „wszyscy jesteśmy za socjalizmem w zasadzie", „socjalizm jest nie tylko nieunikniony ale i konieczny dla nas", czy też „jesteśmy za socjalizmem ale prawdziwym, nie takim jak teraz u nas", to w latach osiemdziesiątych te i podobne opinie ucichły. „Rzeczywisty socjalizm" stał się wyrażeniem pogardliwym, ale i socjalizm w ogóle stał się niepopularny. Tylko mniejszość, przeważnie tych, którzy młodość spędzili w partii, wierzy lub udaje, że wierzy w możliwość „odnowy" socjalizmu, w jakiś przyszły humanistyczny i zarazem naprawdę naukowy socjalizm.

Od tego stanowiska należy odróżnić inne, które tylko wskutek pomieszania języków używa tej samej nazwy. Jest to stanowisko zachodnioeuropejskiej lewicy społecznej, która odrzuca marksizm, odrzuca walkę klas, dyktaturę proletariatu i uspołecznienie środków produkcji, a koncentruje swoje wysiłki na obronie interesów pracowników i możliwie sprawiedliwym podziale dochodu narodowego. Ten ruch, mimo formalnego istnienia nadal Drugiej Międzynarodówki, jest bardzo mało międzynarodowy, w każdym kraju inny. Polacy jednak, mówiąc o socjalizmie, nie myślą o tym ruchu parlamentarno-demokratycznym, mogącym działać tylko w systemie gospodarki wolnorynkowej i prywatnej lub choćby częściowo prywatnej. Gdy słyszą słowo „socjalizm", myślą o dyktaturze partii kierowanej z zagranicy, o gospodarce planowej i rozkazowej, o półetatach i normalnych czynach społecznych i nomenklaturze. Przede wszystkim myślą o tym, co po blisko czterdziestu latach dyktanda, wyzysku doprowadziło Polskę do najgorszego w jej dziejach kryzysu gospodarczego. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych mogło się wydawać, że przy całym marnotrawstwie i prymitywizmie ten system jednak zwiększy potencjał gospodarczy, pozwoli na podniesienie standardu życiowego do poziomu bliskiego europejskiemu. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych nastąpiło załamanie. Okazało się, że ten system jest niezdolny do prowadzenia nowoczesnej gospodarki, do rozumnego inwestowania otrzymanych z kapitalistycznego zachodu kredytów ani planu ich spłaty.

W tym samym czasie coraz więcej Polaków poznawało Zachód, tak europejski jak amerykański, nabierało konkretnego pojęcia jak pracuje w systemie wolnorynkowym nowoczesny przemysł, kredyt, rolnictwo, co to są usługi i jaka jest ich rola w rozwoju dochodu narodowego. Ci, którzy widzieli Rosję i Amerykę, albo nawet wschodnie i zachodnie Niemcy, którzy mieli sposobność porównać Austrię z Czechami, nie mogli nie wyciągnąć wniosku o zasadniczej wyższości ustroju kapitalistycznego nad socjalistycznym zarówno pod względem wydajności jak i poziomu życia pracowników.

Najkompletniej może mit socjalizmu załamał się w oczach najmłodszego pokolenia, które, jak normalnie młodsi, przyjmuje stanowisko skrajne.

Jest jednak w Polsce mniejszość, która chciała ratować zasadę socjalizmu przez syndykalizm. Pod tą nazwą rozumiemy nie ruch zawodowy, ale doktrynę kierowania gospodarki przez samych pracowników. Jest to doktryna bardzo stara. Po raz ostatni pod własnym sztandarem wystąpili anarchosyndykaliści w wojnie domowej hiszpańskiej w latach trzydziestych. Anarchosyndykalizm jest tym odłamem syndykalizmu, który nie uznaje potrzeby państw. Na odwrotnym, najbardziej umiarkowanym skrzydle syndykalizmu stali separatyści, widzący przyszłość w postaci wolnych związków gospodarczych, nie tylko robotniczych. Pomysły syndykalistyczne, dążące do oddania kierownictwa przedsiębiorstwa w ręce jego pracowników, pojawiały się sporadycznie w różnych krajach aż do drugiej wojny światowej (w Polsce m.in. w programie ONR[1]). Kiedy jednak narzucała się sposobność ich realizowania, odrzucili je robotnicy. Robotnicy niemieccy nie chcieli przejąć własności zakładów Volkswagen, gdy im to ofiarowano po drugiej wojnie światowej. W głosowaniu znaczna większość pracowników wypowiedziała się przeciw temu, wychodząc z założenia, że interesom robotniczym najlepiej służy silny związek zawodowy, starający się o największy możliwie udział pracowników w dochodzie, a nie branie odpowiedzialności za prowadzenie przedsiębiorstwa. Obawiali się, że takie przedsiębiorstwo będzie mniej sprawne, mniej dochodowe, ze szkodą dla interesu robotniczego.

W Ameryce przedstawiciele związków zawodowych bywają zapraszani do udziału w radzie nadzorczej przedsiębiorstwa, gdzie pełnią rolę raczej kontrolerów niż administratorów. Zdarza się w latach osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych, że pracownicy wykupują zakład z ręki właściciela. Dzieje się tak wtedy, gdy dany typ produkcji czy dany zakład przestaje się firmie opłacać i zapowiada jego zamknięcie. Pracownicy wolą wtedy czasem pracę na własnym za zaniżoną płacę i z ryzykiem upadłości niż nieuniknione w przeciwnym wypadku bezrobocie. Dotyczy to robotników, którzy czy to ze względu na wiek czy z innych powodów nie widzą szansy przeszkolenia i zmiany zawodu na bardziej nowoczesny. Jest to więc sytuacja schyłkowa. Nie ma wiele wspólnego z programowymi dążeniami syndykalistycznymi. Najdalej w kierunku udziału pra-

cowników w zarządzie poszły Niemcy Zachodnie. Wielkie zakłady przemysłowe muszą tam mieć określoną część członków dyrekcji z wyboru załogi. Być może, że w Polsce przedsiębiorstwa publiczne prowadzone są tak źle przez „aparat", że zarząd pod nadzorem załogi byłby lepszy. Byłaby to przecież poprawa względna, wyjście częściowe, nieotwierające prawdopodobnie drogi do przebudowy gospodarki polskiej w kierunku nowoczesnym.

Tak samo bardzo względną poprawą może być usamodzielnienie kierownictw zakładów. Usamodzielnienie to może być tylko ograniczone, skoro przemysł pracować ma w ramach ogólnokrajowej gospodarki. Korzyść polegałaby na tym, że kierownik przedsiębiorstwa jest przypuszczalnie na wyższym poziomie niż biurokrata ministerialny. Jeżeli jednak gospodarka polska ma się odrodzić, to trzeba wykorzystać te elementy, jakie daje plan ogólny i koncentracja środków. Podział nieudolnego olbrzyma państwowego na setki niedorozwiniętych organizmów nie jest dobrym wyjściem.

Cały przemysł polski nie jest większą jednostką gospodarczą niż jeden wielki konglomerat amerykański. A jednak konglomerat taki działa znakomicie, środowisko kierownicze panuje w nim nad całością, przeprowadza stale zmiany, odświeża swój skład. Błąd nie leży więc w wielkości, złożoności czy planowości zespołu gospodarczego, ale w samym systemie gospodarowania i rządzenia. Selekcja ludzi w systemie komunistycznym jest zawsze selekcją negatywną. Probierzem jest umiejętność władzy pojmowanej w sensie policyjnym. Tak pojmowana władza paraliżuje wszelką inicjatywę i zabija myślenie ekonomiczne. Ma także szereg pobocznych konsekwencji zbyt dobrze znanych, by warto się teraz nad nimi rozwodzić.

Usamodzielnienie przedsiębiorstw czy rady robotnicze to są tylko paliatywy, chroniące do pewnego stopnia przed niszczącym działaniem doktryny, ale niemogące przynieść istotnej przemiany.

Odrodzenie niezależnych związków zawodowych odegrałoby niewątpliwie rolę dodatnią. Ale związek zawodowy z natury rzeczy reprezentuje jedną stronę zagadnienia. Dba o sprawiedliwy podział dochodu, ale ma wpływ tylko pośredni na zwiększenie tego dochodu. Japończycy mają doskonałe rezultaty z płodnych w pomysły produkcyjne komitetów pracowniczych. Ale nie ma to nic wspólnego z syndykalizmem, jest raczej przejawem typowego dla całego życia społecznego paternalizmu.

Nie słyszałem, by ktoś w Polsce proponował wyjście w postaci wystawienia przemysłu polskiego na sprzedaż. Gdyby to kiedykolwiek miało okazać się możliwe, nie byłoby ani moralne, ani ekonomiczne. Niemoralne, bo ten przemysł powstał ciężkim wysiłkiem całego społeczeństwa, nieekonomiczne, ponieważ wątpliwe jest, czy znaleźliby się poważni kupcy na zakłady już w dużej mierze w tej chwili przestarzałe z punktu widzenia tych, którzy dysponują odpowiednio wielkimi środkami dla ich nabycia.

Trzeba więc ten przemysł państwowy poprawiać, udoskonalać i racjonalizować jak się da poprzez kształcenie kadr kierowniczych, technicznych i handlowych, nie szukając iluzyjnego wyjścia ani w prywatyzacji, ani w syndykalizacji.

Ten przemysł zresztą będzie się kurczył.

Mówię tu o przemyśle jako takim, zwłaszcza ciężkim, nie o transporcie, usługach czy rolnictwie.

Zostało już przyjęte, że Stany Zjednoczone i Japonia weszły – a Europa Zachodnia wchodzi – w epokę informatyczną. Mówiono początkowo o epoce poprzemysłowej, Zbigniew Brzeziński propagował nazwę epoki technetronicznej, ale zwyciężyło określenie „information society", społeczeństwo informatyczne, przeciwstawione minionemu już społeczeństwu przemysłowemu.

W epoce społeczeństwa rolniczego przygniatająca większość siły roboczej zatrudniona była w rolnictwie. Jeszcze w chwili wybuchu drugiej wojny światowej rolnicy stanowili dwie trzecie ludności w Polsce a ponad cztery piąte w Bułgarii. Rewolucja przemysłowa zaczęła się w Anglii w końcu XVIII wieku. Już w pierwszej połowie XIX wieku Anglia ze społeczeństwa rolniczego stała się przemysłowym, to znaczy, że robotników fabrycznych było więcej niż rolników. W Ameryce ten proces odbył się nieco później. Jeszcze w początkach XX wieku połowa amerykańskiej siły roboczej zatrudniona była w rolnictwie. We Francji taka proporcja trwała niemal do drugiej wojny światowej. Proces ten, raz osiągnąwszy równowagę zatrudnienia między rolnictwem i przemysłem, posuwał się w tempie przyspieszonym. W tej chwili w rolnictwie amerykańskim zatrudnionych jest tylko 3 procent siły roboczej kraju. Produkuje ona jednak więcej o jedną czwartą niż przed półwieczem.

W chwili końca drugiej wojny światowej większość siły roboczej amerykańskiej stanowili pracownicy przemysłowi zatrudnieni w produkcji towarowej. W dziesięć lat potem nastąpił przełom. W r. 1956 po raz pierwszy liczba pracowników umysłowych („biało-kołnierzykowych") przekroczyła w Ameryce liczbę pracowników fizycznych („niebiesko-kołnierzykowych"). W następnych latach pojawiły się dwa nowe zasadnicze czynniki: globalna łączność przy pomocy satelitów i komputeryzacja. Liczba zajęć w produkcji przemysłowej zaczęła spadać, powstały nowe gałęzie produkcji związane z informacją. W r. 1950 w sektorze informacyjnym w Stanach Zjednoczonych pracowało 17 procent siły roboczej, obecnie pracuje już ponad 60 procent. Są to programatorzy i producenci tzw. miękkiego materiału dla komputerów, półprzewodników, mikroprocesorów, sprzętu telekomunikacyjnego, pracownicy poligrafii, środków masowego przekazu, firm ogłoszeniowych, księgowi, ubezpieczeniowcy, bankowcy, nauczyciele wszelkich stopni i rodzajów, technicy związani z informatyką. Tymczasem procent pracowników przemysłu w sile roboczej spadł w końcu lat 70-tych do 13. I spada dalej. W ciągu lat 70-tych stworzono w Ame-

ryce 19 milionów nowych zajęć (prac). Z tego tylko 5 procent przypadło na robotników fabrycznych a 11 na sektor produkcji towarowej w ogóle. W tym czasie siła robocza w ogóle wzrosła o 18 procent, ale liczba kierowników (managers) o 58 procent, pracowników administracyjnych zdrowia o 118%, urzędników o 76%, bankowców o 83%, analityków gospodarczych o 84%.

Wedle studium opracowanego przez Porata dla ministerstwa handlu już w r. 1967 blisko połowa (46%) amerykańskiego dochodu narodowego pochodziła z sektora informatycznego.

Połączone technologie telefonu, komputera i telewizji kablowej zmieniły całe życie amerykańskie, a przede wszystkim funkcjonowanie gospodarki. Są one tym w epoce informatycznej, czym paliwo stałe i płynne było w epoce przemysłowej a siły natury (woda, wiatr, mięśnie) w epoce rolniczej.

Liczba pracowników przemysłowych kurczy się. W tej chwili przemysł samochodowy w Ameryce by sprostać konkurencji japońskiej przechodzi na automaty. Tak samo przemysł typograficzny. Oblicza się, że do końca stulecia od połowy do trzech czwartych robotników zastąpionych będzie przez roboty.

Do tych możliwości dostosowuje się już szkolnictwo. Podniesiono alarm, że w społeczeństwie panuje „analfabetyzm komputerowy". Komputer osobisty pojawia się w coraz większej ilości domów jako kalkulator, informator, zabawka. Staje się tak potrzebną pomocą szkolną, jak tablica. W stanie Minnesota 95% uczniów ma dostęp do naukowej obsługi komputerowej. Bardzo charakterystyczne dla Ameryki, że zajmuje się tą obsługą nie urząd, ale przedsiębiorstwo: „Minnesotańskie Konsorcjum Nauczania Komputerowego".

Gospodarkę dzieli się w Ameryce na „ekonomię zachodzącą" i „ekonomię wschodzącą". Do zachodzącej należą kopalnie, huty żelazne, stocznie. Stalownie się komasuje a starsze zamyka. Tak samo zamyka stalownie Francja, co jest tam powodem niepokojów społecznych.

W epoce przemysłowej nie brakowało talentów organizacyjnych ani rąk do pracy, brakowało środków, przede wszystkim finansów. Kapitał finansowy stał się nerwem ustroju. W epoce informatycznej nerwem nie jest kapitał, ale informacja, to znaczy wiedza stosowana. Kapitału finansowego nie brakuje, jest go nawet w pewnym sensie nadmiar. Nie on jest zasobem strategicznym, ale wiedza.

Tak zwana Dolina Silikonu w Kalifornii, gdzie skoncentrowany jest przemysł informacyjny, jest krainą młodych naukowców, którzy w błyskawicznym tempie porobili wielkie majątki w oparciu nie o wielką organizację ani wielki kredyt, ale o twórczy pomysł. Tych nowych firm powstają ogromne ilości. W ciągu paru lat albo upadają, albo rozkwitają. Podczas gdy w latach pięćdziesiątych powstawało przeciętnie w Stanach Zjednoczonych rocznie 93 tysiące firm, w latach osiemdziesiątych powstaje ich 600 tysięcy.

Słowem, z natury rzeczy, nowa gospodarka nie tylko nie potrzebuje wielkiej hali i wielkiego pieca ani produkcji taśmowej, nie potrzebuje także wielkiej organizacji ani biurokracji, jest sprzeczna z planowaniem „perspektywicznym" z państwowymi programami, wypływającymi z doktryny.

Oczywiście Polska nie jest Ameryką i zapewne nigdy się do niej całkiem nie upodobni. Polska dopiero w połowie XX wieku ze społeczeństwa rolniczego przekształciła się w przemysłowe. Wciąż jeszcze jedna trzecia siły roboczej pracuje w rolnictwie całkowicie lub częściowo. Jednakże kraje przodujące ekonomicznie, technicznie i naukowo wytyczają drogę innym. Rozwój Ameryki jest wzorem dla rozwoju Europy Zachodniej. Kto pozostanie w epoce przemysłowej, znajdzie się w stosunku do krajów informatycznych w takim położeniu, w jakim są kraje rolnicze Afryki czy Azji w stosunku do krajów uprzemysłowionych. Amerykanie w dalszym ciągu chodzą w butach, ale tych butów już sami przeważnie nie robią. Szyje je nisko płatny robotnik krajów ubogich. Firmy amerykańskie przerzucają produkcję wymagającą wiele pracy do Ameryki Łacińskiej lub południowej Azji, nawet produkcję stosunkowo nowoczesną – telewizorów czy aparatury samochodowej. Te kraje, które pozostaną w epoce przemysłowej, skazane będą na pełnienie tych mało opłacalnych funkcji gospodarczych za odpowiednio niższym wynagrodzeniem.

Stosując rozróżnienie amerykańskie, zbudowany „pod socjalizmem" przemysł polski jest w lwiej części, jak huty, stocznie, przemysłem „zachodzącym". Ten przemysł nadaje się do centralnego planowania, do utrzymywania i poprawiania, ale nie on będzie stanowił o przyszłości. O przyszłości stanowić będą te sektory gospodarki, których jeszcze właściwie w Polsce nie ma. Ale mogą powstać.

O kapitał finansowy w Polsce i dla Polski jest bardzo trudno. Wyciśnięcie kapitału z gospodarki polskiej nie byłoby łatwe nawet przy dobrej ekonomii. Ale w nowej epoce elementem strategicznym jest nie kapitał, lecz wiedza. Polacy są na ogół inteligentni, mają kult wiedzy. Gdyby umożliwiono im rozwinięcie własnej inicjatywy po odpowiednim przeszkoleniu, mogliby szybko podnieść poziom życia gospodarczego. Z przeszkoleniem jest jednak bardzo źle. W początku lat osiemdziesiątych spotkałem młodą i niewątpliwie utalentowaną panią inżynier z Polski. Studiowała informatykę, otrzymała dyplom, przyjęła pracę za kilka tysięcy złotych miesięcznie gdzieś na Śląsku. Z rozmowy z nią dowiedziałem się rzeczy zdumiewającej. Nigdy w życiu nie miała do czynienia z komputerem, uczyła się tylko z książek. Jest to taki absurd, jak uczyć się gry na fortepianie z nut, ale bez instrumentu. A może nawet jeszcze większy absurd. Uświadomiło mi to, jak daleko jest Polska w tyle pod względem gospodarczym za nowoczesnym światem. Zasypanie tej przepaści musi być najważniejszą troską schyłkowych lat XX wieku.

Nie znaczy to, że w tym czasie Polska może stać się społeczeństwem informatycznym. Pod pewnymi względami Ameryki w ogóle naśladować w warunkach środkowoeuropejskich nie sposób. Na przykład w rolnictwie. Ameryka Północna ma historię jedyną w swoim rodzaju. W chwili przybycia pierwszych osadników europejskich zaludniona była niezwykle rzadko przez koczownicze, z nielicznymi wyjątkami, plemiona myśliwców i zbieraczy z epoki kamienia gładzonego. Osadnicy europejscy, posuwając się od oceanu do oceanu, napotykali znacznie więcej ziemi niż mogli zagospodarować. Problemem był brak ludzi, nie brak ziemi. W Ameryce wciąż uprawia się tylko ziemie najlepsze, a pracę ludzką do granic możliwości zastępuje innymi środkami. Rolnictwo amerykańskie jest niezwykle wydajne w stosunku do liczby ludzi w nim zatrudnionych, a także w stosunku do areału. Ale wydajność z hektara ziemi o przeciętnej polskiej glebie jest mniejsza niż w Polsce. Następnie w granicach Stanów Zjednoczonych znajdują się bardzo różne klimaty, od borealnego do tropikalnego, od śródziemnomorskiego do stepowego. Umożliwia to, a nawet narzuca, specjalizację regionalną. Kraj dzieli się na „pasy": pas bawełny, pas kukurydzy, pas pszenicy, dalej na obszary wielkiej hodowli bydła, nie mówiąc o lasach, z których wiele jest dziewiczych. Gospodarstwa są nie tylko wielkie i zmechanizowane, ale także specjalizowane. Hodowla warzyw i owoców nie opłaca się na północy, zbóż chlebowych na południu. Rolnictwo jest przeważnie odsunięte daleko od wielkich metropolii. Wszystko to nie jest do naśladowania w Polsce.

Nie nadaje się również do naśladowania wzór rolnictwa japońskiego. Pomijając różnicę klimatyczną, która sprawia, że zbiory w Japonii są dwa razy do roku, co oznacza, że japońskie gospodarstwo jest jakby dwa razy większe od polskiego, rolnictwo w Japonii jest subwencjonowane przez państwo ze względów społecznych. W niewielkiej tylko mierze żywi ono kraj, którego ziemie uprawne stanowią mniejszość obszaru. Poważnym natomiast źródłem żywności, działem nie mniej ważnym jak rolnictwo jest rybołówstwo. Japończycy konsumują mięso dopiero w pierwszym właściwie pokoleniu. Ryż i ryba a nie chleb i mięso stanowią podstawę ich pokarmu.

Szukając wzoru dla polskiego rolnictwa należy zwrócić się tam, skąd zawsze czerpało ono wzory, i przez wieki z dobrym skutkiem, to jest do Europy Zachodniej. Europa Zachodnia ma doświadczenia historyczne i warunki geograficzne podobne do polskich. Jej rolnictwo osiągnęło w ostatnich czterdziestu latach poziom niewyobrażalny przed półwiekiem, odznacza je stała nadprodukcja żywności, zwłaszcza tłuszczów. Opiera się ono na średnim gospodarstwie unowocześnionym i unaukowionym, gospodarstwie w zasadzie rodzinnym. Sto lat temu jedna rodzina mogła bez pomocy pracy najemnej uprawić zaledwie kilkanaście morgów. Przy dzisiejszych środkach może uprawić dziesięć razy tyle. We Francji 10% siły roboczej pracuje w rolnictwie, w Niemczech Zachod-

nich 6%, w Danii 8%, w Holandii 6%, we Włoszech 15%, w Anglii 1.1/2%. W Polsce powinna pozostać na roli najwyżej połowa obecnie pracujących.

Działem, w którym „uspołecznienie" szczególnie nie zdaje egzaminu, jest dystrybucja. Nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach „socjalistycznych", upaństwowiony handel jest hamulcem rozwoju gospodarczego i źródłem stałej udręki konsumentów. Dystrybucja musi być dostosowana do lokalnych potrzeb konsumentów. Właściciel, dzierżawca czy kierownik sklepu musi mieć swobodę nabywania towaru w różnych źródłach. Musi być zainteresowany osobiście w obsłużeniu jak najlepszym klienta. Jeżeli dystrybucja nie jest zorientowana na konsumenta, to wypacza się cała gospodarka. Niknie wpływ konsumenta na producenta. Nie ulega wątpliwości, że reprywatyzacja handlu jest jedynym wyjściem. Handel spółdzielczy może działać poprawnie dopiero wtedy, kiedy ma konkurencję w postaci handlu prywatnego.

To co dotyczy dystrybucji odnosi się także do przemysłu obsługowego, warsztatów, które muszą być nastawione na potrzeby zróżnicowanego konsumenta. Odnosi się w ogóle do całego działu usług w węższym tego słowa znaczeniu. Usługi w szerszym znaczeniu obejmują także naukę, bankowość, ubezpieczenia, transport i łączność, lecznictwo, informację, rozrywkę etc.

Zatrudniają one w społeczeństwach w pełni uprzemysłowionych większość siły roboczej. W węższym tego słowa znaczeniu usługi obejmują działy bezpośrednio związane z produkcją, takie jak handel, rzemiosło usługowe, kasy kredytowe. Te, jeśli mają spełniać swoje zadanie społeczne, nie mogą być państwowe.

Natomiast usługi w szerszym znaczeniu są terenem skrzyżowania inicjatywy publicznej i prywatnej. W każdym niemal państwie zasięg publicznego i prywatnego władania układa się inaczej. Nawet w Stanach Zjednoczonych, które z takim naciskiem głoszą i tak bardzo przestrzegają zasady wolnej, tj. prywatnej, inicjatywy, istnieją obok prywatnych uniwersytety stanowe, szkoły miejskie, banki państwowe, ubezpieczenia społeczne, transport publiczny, poczta federalna, szpitale komunalne itd. W większości państw zachodnioeuropejskich telegraf i telefon, radio i telewizja są publiczne. Wszędzie dopuszcza się prywatne szkolnictwo i wszędzie zasadą jest prywatna prasa i wydawnictwa. Ten rozmaity podział, tłumaczący się najczęściej historią, ma podłoże w małej mierze ekonomiczne a w dużej polityczne, a nawet ideologiczne. W tym miejscu wystarczy powiedzieć, że nie da się w tej dziedzinie przeprowadzić całkiem konsekwentnie wyłączności ani własności publicznej, ani prywatnej.

W tej chwili zarysowują się wyraźnie dwa przodujące wzory nowoczesnej gospodarki opartej o rolnictwo, przemysł i informatykę, z coraz większą przewagą tej ostatniej. Jeden to wzór amerykański, drugi japoński.

Wzór amerykański jest indywidualistyczny i, można chyba to tak określić, sportowy. Amerykanie z kultury angielskiej przyjęli kult rozgrywki, sformali-

zowanego współzawodnictwa. Podstawą życia zbiorowego jest „adversary contest" – zawody przeciwników. Na nich oparte jest życie szkolne, sądownictwo, polityka, handel, produkcja. Musi być konkurencja, monopol jest słowem-wymysłem. Nawet religii musi być wiele. Głęboko pod tymi zwyczajami tkwi filozofia ewolucjonizmu darwinowskiego z jego postępem przez współzawodnictwo gatunków i przeżyciem najsilniejszych. A równocześnie filozofia nadrzędności wolności nad innymi celami. Pracodawca i pracownik walczą ze sobą, ale tak jeden, jak i drugi jest wolny i może zawrzeć lub wymówić umowę. Przedsiębiorcy walczą ze sobą, ale mają wolną rękę w zawieraniu ze sobą umów. Ingerencja państwa jest w zasadzie nieprawa i szkodliwa. Jest to ideologia, która znakomicie pasuje do narodu młodego, to znaczy złożonego ze świeżo połączonych i płynnych elementów, pełnego inicjatywy i energii, nieskrępowanego odziedziczoną lojalnością. Japonia pod wieloma względami, i to najważniejszymi, jest zupełnym przeciwieństwem Stanów Zjednoczonych. Amerykanie są narodem młodym, pluralistycznym, powstałym na zasadzie umowy społecznej, którego składniki zmieniają się stale. Japończycy są narodem starym, opartym na wspólnocie plemiennej. Są bardziej narodem niż narody europejskie, albo raczej są bardziej plemienną formacją społeczną i polityczną niż jakikolwiek inny duży naród. Opierają się nie na umowie, ale na wspólnym pochodzeniu, ich związek z narodem jest daleko mniej dobrowolny, niektórzy mówią: instynktowny. Dla Japończyka naród jest wielką rodziną. Jej ojcem duchowym czy może dziadem jest cesarz. Ta wielka rodzina składa się nie tylko z małych rodzin, ale także z różnych związków, przede wszystkim zakładów pracy, gdzie ojcem, indywidualnym czy zbiorowym, jest dyrektor. Firmie należy się szacunek i miłość synowska. Pracownik normalnie wstępuje do zakładu pracy na całe życie. Zgadza się, że jego zarobek z początku będzie skromny, rosnący z latami. Wie, że nie będzie z pracy usunięty bez własnej winy i otrzyma wystarczającą emeryturę. Dotyczy to zarówno robotników, jak techników, inżynierów, ekonomistów i innych. Między firmami prywatnymi a rządem jest bardzo bliski związek. Dyrektorzy, którzy w średnim wieku nie widzą możliwości wyjścia na szczyty zarządu firmy, przechodzą do administracji państwowej.

Wzorem działania nie jest drużyna sportowa ani współzawodnictwo, ale ugoda. Powzięcie decyzji bez zasięgnięcia opinii współpracowników i podwładnych jest nieprzyzwoitością. Od szczebla warsztatu pracy, gdzie wysłuchuje się sugestii i opinii komitetu robotniczego, aż po zarząd kartelu a nawet ministerstwo decyzje zapadają zawsze w wyniku nieformalnej może, ale wiążącej dyskusji, w formie uzgodnionej. To znaczy, że decyzje zapadają dużo wolniej niż w systemie amerykańskim (co Amerykanów doprowadza czasem do pasji), ale za to są dla wszystkich zainteresowanych zrozumiałe i mogą być stosowane prawie tak, jakby były wynikiem własnego sądu.

Japończycy mają jeszcze jedną cechę, która w naszych czasach nabiera szczególnego znaczenia: są namiętnymi zbieraczami informacji. Turysta japoński, nawet członek wycieczki robotniczej, o wszystko się pyta, wszystko notuje, wszystko fotografuje lub nagrywa na taśmę. Tego materiału nie chowa potem do szuflady pamiątek czy tylko dla pokazania gościom. Zakład pracy, klub koleżeński, ośrodek fachowy zabierają taki materiał, segregują, analizują, przesyłają tam, gdzie może się przydać. Japońskie „banki wiedzy" są bogatsze niż jakiekolwiek inne.

Wreszcie, w odróżnieniu od Amerykanów, Japończycy świadomie utrzymują w swojej gospodarce „sektor rezerwowy". Składają się na niego drobni rolnicy, tradycyjni rzemieślnicy, niezwykle liczni sprzedawcy, poddostawcy, pośrednicy. Ustrój dba o to, żeby nie zaginęli. Może to być ważne na dalszą przyszłość. W systemie amerykańskim istnieje poważne niebezpieczeństwo, że w przyszłości (następujące liczby należy uważać za raczej symboliczne niż ścisłe) będzie 3% siły roboczej w rolnictwie, 6% w produkcji towarowej, 75% w informatyce łącznie z usługami, a 15% będzie trwale bezrobotnych, gorzej, dziedzicznie bezrobotnych. I że ta grupa będzie w dużej mierze jednostronna rasowo, czarna. Ze względów historycznych, społecznych (większość dzieci nieślubnych), kulturalnych, ekonomicznych – duża część młodzieży murzyńskiej stanowi tzw. odsiew szkolny, a większość reszty kończy szkołę złą. Pod tym względem wytwarza się błędne koło: w czarnej dzielnicy duża część młodzieży jest zdemoralizowana, wychowuje się na ulicy, w szkole musi być specjalna policja broniąca nauczycieli przed napadami, uczennice przed gwałtami i konfiskująca narkotyki; wobec tego nauczyciele unikają takich szkół, uczą ludzie bez kwalifikacji, tych starszych uczniów, których nauka nie interesuje, pozostawiają w spokoju. Po 12 latach nauki wychodzą nieraz funkcjonalni analfabeci. A w nowoczesnej gospodarce konieczne jest wykształcenie nie elementarne i nie niższe zawodowe, ale ogólne wykształcenie naukowe, które pozwoli podjąć pracę w różnych dziedzinach specjalnych, często jeszcze nieistniejących w chwili trwania nauki szkolnej.

Wykształcenie japońskie ma inne cechy osobliwe. Szkoła średnia nastawiona jest całkowicie na egzaminy wstępne do wyższych uczelni. Napięcie przy tych egzaminach jest niespotykane w żadnym innym kraju, ponieważ od tego, na jaką uczelnię się dostanie, zależy cała przyszłość. Przez swoistą reakcję, raz przyjęty na uniwersytet Japończyk przestaje się wysilać. System uniwersytecki jest liberalny, sankcje za zaniedbanie nauki są minimalne. Klasa pracy, jaką się następnie otrzymuje, zależy od tego, jakiego uniwersytetu przynosi się dyplom, a nie od tego, jakie ma się wyniki studiów.

Nie sądzę aby w Polsce można było zastosować którykolwiek z tych dwóch systemów. Polacy nie są ani narodem-przedsiębiorstwem jak Amerykanie, ani narodem-ulem jak Japończycy. Ich punktem wyjścia nie jest pusty kontynent,

ani też kraj ze zniszczonym całkowicie przemysłem, który potężny partner pomaga odtworzyć na nowych zasadach. Ich punktem wyjścia jest źle zbudowana gospodarka kolektywistyczna, obrosła fatalnymi zwyczajami antygospodarczymi. Polacy nie przejawiają tej zdolności do spontanicznej kooperacji, co Amerykanie, ani tej karności społecznej, co Japończycy. Amerykanie są mistrzami szybkiej, praktycznej organizacji, Japończycy mistrzami kompromisu. Polacy lubią jednomyślność, ale nie kompromis, swary, ale nie współzawodnictwo, nie brak im uporu, ale brak konsekwencji. Odznaczają się raczej pracowitością niż przedsiębiorczością. Nie mają tego wrodzonego szacunku dla zwierzchności, który mają Japończycy. Są raczej trudni do słuchania i trudni do współdziałania.

Wymieniam tu świadomie cechy raczej negatywne, żeby przy ich pomocy uwypuklić dlaczego uważam, że Polska nie może przejąć żadnego z dwóch systemów nowoczesnej gospodarki. Nie znaczy to, by nie mogli przejąć ważnych elementów tak z jednego, jak i drugiego systemu, z odpowiednimi i koniecznymi modyfikacjami. Być może, że pod wieloma względami system japoński byłby stosowniejszy dla Polski tak ze względu na pewne podobieństwo więzi narodowej (plemienność), jak i na kolektywistyczne założenia naszego przemysłu. Na korzyść systemu amerykańskiego powiedzieć należy jedno, jak dotąd on jest krynicą. Japończycy stosują zdobycze naukowe z wielkim powodzeniem. Wyprzedzili Amerykanów w przemyśle samochodowym, elektronicznym, nawet w półprzewodnikach. Jednakże wszystkie naprawdę nowe wynalazki rodzą się w głowach amerykańskich „kidów", prosto po szkole, albo w amerykańskich laboratoriach.

Wychodząc z systemu kolektywistycznego staje się nie wobec zagadnienia „amerykańskiego": jak wprowadzić do gospodarki element planowania narodowego i koordynacji globalnej, ale wobec zagadnienia odwrotnego: jak wprowadzić prywatną inicjatywę i współzawodnictwo bez wywołania anarchii ekonomicznej. Jak otworzyć drogę polskim genialnym „kidom" i dopuścić do robienia uzasadnionych karier polskich „yuppies", czyli młodych ludzi „dogórnych". Jak w ogóle „odgórność" zamienić w „dogórność" w życiu gospodarczym.

Obok dwóch głównych i odległych wzorów: japońskiego i amerykańskiego, sięgnąć będzie trzeba do pośrednich a bliższych nam pod wielu względami doświadczeń, choćby niemieckich i francuskich.

W ekonomii decydują dwa czynniki: psychologiczny i techniczny. Psychologiczny uniemożliwia ścisłe stosowanie wzorów zagranicznych zwłaszcza w makroekonomii, techniczny zmusza do stosowania wzorów wypróbowanych w krajach najbardziej rozwiniętych. Ta sprzeczność wewnętrzna może być źródłem oryginalnego rozwoju, jeśli dostosuje się inteligentnie technikę do psychiki.

W gospodarkę polską wkalkulować trzeba jeszcze jedną trudność: potrzebę silnego przyrostu naturalnego przez co najmniej pół wieku. Są narody leżące na uboczu, których osłoną jest ich słabość. Nikomu nie stoją w drodze. W tym miejscu, w którym leży Polska, nie ma gdzie się schować. Polska leży na drodze z Rosji do Europy i na odwrót. Jest nie do ominięcia. Jeśli więc nie ma być tratowana – nawet jeżeli nie wojskowo, to politycznie i gospodarczo – w każdym pokoleniu, to musi stanowić przeszkodę na miarę swojej części świata. Nie ma perspektyw wyrównania ludnościowego z Rosją. Ma natomiast możliwość stania się dużym narodem europejskim, takim jak Niemcy, Francja, Anglia, Włochy, Hiszpania. To znaczy musi mieć około pięćdziesięciu milionów mieszkańców. Jest to zupełnie realne, choć wymaga poświęceń.

Po drugiej wojnie światowej podniesiono na zachodzie alarm, że ludzkości grozi pomór głodowy z powodu przeludnienia. Obliczono, że jeżeli w Ameryce Łacińskiej przyrost naturalny nie zmniejszy się radykalnie w ciągu najbliższego półwiecza, zapanuje tam masowy głód. Tylko katolicy usiłowali protestować, ale nie umieli podać przekonywających przeciwdanych. Od tego czasu upłynęło prawie czterdzieści lat. Przyrost naturalny w Ameryce Łacińskiej jest nadal wysoki. Liczba ludności całego tego regionu wzrosła przeszło dwukrotnie (Meksyku blisko trzykrotnie). I nie tylko nie ma pomoru głodowego, ale poziom życia, tzw. standard, podniósł się bardzo wyraźnie a dochód na głowę ludności wzrósł. Co się stało? Wynalazczość ludzka wyhodowała nowe gatunki zbóż dostosowanych do tropikalnego klimatu. Zagospodarowano kraje, budując drogi, odkrywając złoża nafty i metali. Nacisk demograficzny w postaci młodych liczniejszych roczników zmusza do pracy wydajniejszej przy oszczędnym spożyciu. Jest bardzo ciężko, ale w tych licznych rodzinach każdy stara się zarobić. Jedna piecze ciastka, druga sprzedaje je na ulicy, trzeci czyści buty, czwarty jest gońcem, piąty pracuje dorywczo na budowie, szósty myje samochody. Żyją kukurydzą i fasolą z dodatkiem ryb i kur. Kolonizują południozachód Stanów Zjednoczonych. Rola Brazylii, Meksyku, Kolumbii jest w świecie znacznie większa niż była pół wieku temu. Rola nie tylko gospodarcza i polityczna, ale także kulturalna. Pisarze, malarze, muzycy z tego regionu zaliczają się do czołówki światowej. I wnoszą nowe elementy do kultury. W Europie (a zatem zapewne i w świecie) cztery państwa, i tylko cztery, mają ujemny przyrost naturalny, czyli ubytek ludności. Są to cztery państwa języka niemieckiego: Niemiecka Republika Federalna, Niemiecka Republika Demokratyczna, Austria i Szwajcaria. Polska ma jeden z wyższych przyrostów naturalnych w Europie, ponad 1% rocznie. Gdyby ten przyrost się utrzymał, za pół wieku Polska miałaby więcej mieszkańców niż Niemcy Zachodnie, Anglia, Francja, niewiele mniej niż oboje Niemiec.

Nie jest to jednak program łatwy. Obecny stosunkowo wysoki przyrost jest zjawiskiem cyklicznym, wynikiem wchodzenia w życie wnuków powojennego

wyżu demograficznego. Może on łatwo skurczyć się i nie wrócić już nigdy do obecnego poziomu. Wydaje się, że zapewnić stały wysoki przyrost przez kilkadziesiąt lat może tylko powiązanie trzech elementów ekonomicznych: po pierwsze trzeba znieść swobodę przerywania ciąży, po drugie stworzyć system kredytu na budowę domów i mieszkań prywatnych, po trzecie znieść wszystkie przepisy krępujące zdolność zarabiania prywatnego, czy to w dziale drobnej produkcji czy usług wszelkiego rodzaju. Także pracy młodzieży w zakresie niekolidującym z nauką szkolną.

Ludzi nie trzeba się bać. Przy dzisiejszych środkach technicznych rolnictwo i przemysł mogą znacznie wzmóc produkcję przy zmniejszonej ilości pracowników, wyżywić i zaopatrzyć duże kilkadziesiąt milionów ludzi na obszarze Polski. Przez to otworzy się pole inicjatywy w nowych dziedzinach dla dziesiątków milionów pracowników umysłowych (ale nie w znaczeniu biurokracji partyjno-rządowej).

Przypisy

[1] Obóz Narodowo-Radykalny (ONR) – ugrupowanie polityczne działające w II Rzeczpospolitej, stanowiące kolejne stadium ewolucji ruchu endeckiego. Zostało założone w 1934 r. przez część młodzieży skupionej w Obozie Wielkiej Polski. Po roku doszło do rozłamu i wyłonienia się dwóch grup: Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga" (działał w nim młodości Wojciech Wasiutyński) oraz Obozu Narodowo-Radykalnego „ABC".